

JOHN GRISHAM

WERDYKT



ILE TRZEBA ZAPŁACIĆ ZA SĘDZIEGO SĄDU NAJWYŻSZEGO?

Rozdział 1

Ława przysięgłych była gotowa.

Po czterdziestu dwóch godzinach narad, które zwieńczyły trwający siedemdziesiąt jeden dni proces – pięćset trzydzieści godzin zeznań składanych przez czterdziestu ośmiu świadków, siedzenie bez końca w całkowitym milczeniu, podczas gdy prawnicy przerzucali się argumentami, sędzia pouczał, publiczność zaś, niczym stado jastrzębi, wypatrywała wszelkich potknięć – ława przysięgłych była gotowa. Dziesięcioro ludzi przebywających w swoim pomieszczeniu, odosobnionym i zamkniętym, podpisało się z dumą pod werdyktem, podczas gdy dwoje pozostałych – wyobcowanych i żalonych w swym odszczepieństwie – dąsało się w kącie. Były uściski, uśmiechy i szczere gratulacje, ponieważ przetrwali tę małą wojnę i mogli teraz znów wkroczyć dumnie na arenę, by ogłosić decyzję osiągniętą dzięki determinacji i uporczywemu poszukiwaniu kompromisu. Ich trud dobiegł końca, a cywilny obowiązek został spełniony. I to z nawiązką.

Przewodniczący ławy przysięgłych zapukał w drzwi i wywrwał Wuja Joego z drzemki. Wuj Joe, wiekowy woźny są-

dowy, strzegł ich bezpieczeństwa, a także dostarczał im posiłki, wysłuchiwał skarg i po cichu przekazywał sędziemu wiadomości od nich. Mówiło się, że za młodych lat, kiedy jeszcze nie doskwierała mu głuchota, Wuj Joe podsłuchiwał przysięgłych przez cienkie drzwi z sosnowego drewna, które osobiście wybrał i zamontował. Ale to już należało do przeszłości i jak wyznał tylko żonie, po znoju związanym z tą sprawą mógłby powiesić swój stary pistolet na kołku, i to raz na zawsze. Wysiłek związany z czuwaniem nad sprawiedliwością uszczuplał jego siły.

Uśmiechnął się i oznajmił: „To świetnie. Powiadomię sędziego”, jakby ten tylko czekał na informację od Wuja Joego, który jednak, jak to było w zwyczaju, odszukał urzędniczkę i przekazał jej wspaniałą wiadomość. Wydawało się to naprawdę ekscytujące. Ów stary budynek sądowy nie widział jeszcze tak długiego i skomplikowanego procesu. Jego zakończenie bez podjęcia decyzji byłoby hańbą.

Urzędniczka zapukała lekko do drzwi gabinetu sędziego, weszła do środka i oznajmiła z dumą: „Mamy werdykt”, jakby sama uczestniczyła w negocjacjach i teraz przekazywała ich wynik niczym dar.

Sędzia zamknął oczy i wydał z siebie głębokie, pełne zadowolenia westchnienie. Na jego twarzy pojawił się szczęśliwy i nerwowy uśmiech ulgi, prawie niedowierzania.

– Proszę wezwać strony – powiedział w końcu.

Po niemal pięciu dniach sędzia Harrison musiał pogodzić się ze swym najgorszym koszmarem – możliwością braku jednomyślności wśród sędziów przysięgłych. Po czterech latach zajadłych sporów prawnych i czterech miesiącach procesu, w którym strony walczyły ze sobą bezpardonowo, myśl o nierozstrzygniętej sprawie przyprawiała go niemal o chorobę. Nie

wyobrażał sobie, by można było zacząć to wszystko od nowa.

Wsunął stopy w stare pantofle, zerwał się z krzesła, uśmiechając się jak mały chłopiec, i sięgnął po toge. Wreszcie było po wszystkim – najdłuższy proces w jego nad wyraz barwnej karierze dobiegł właśnie końca.

Urzędniczka zadzwoniła najpierw do Payton & Payton – miejscowej kancelarii adwokackiej, której współnikami było małżeństwo, zajmującej w gorszej części miasta lokal po dawnym sklepie z tandetą. Odebrał aplikant, słuchał przez kilka sekund, po czym odłożył słuchawkę i wrzasnął:

– Ława ustaliła werdykt!

Jego głos odbił się echem od przepastnego labiryntu małych i prowizorycznych pomieszczeń biurowych; wszyscy zerwali się z miejsc.

Krzyknął to jeszcze raz, biegnąc w stronę Dołka, jak nazywano salę posiedzeń, gdzie zbierali się pospiesznie pozostali pracownicy kancelarii. Wes Payton już tam był, jego żona, Mary Grace, właśnie się pojawiła; patrzyli sobie w oczy przez jedną sekundę pełną strachu i zdumienia. Dwóch aplikantów, dwie sekretarki i księgowa zebrali się przy długim zawalonym papierami stole. Znieruchomieli nagle i popatrzyli na siebie, jakby czekali, by ktoś odezwał się pierwszy.

Naprawdę było po wszystkim? Czekali całą wieczność, a skończyło się to tak nagle? Wystarczył jeden telefon?

– Może pomodlimy się w milczeniu – zaproponował Wes.

Wzięli się za ręce, tworząc zwarte koło, i zaczęli modlić się tak żarliwie jak nigdy dotąd. Zanoszono wszelkiego rodzaju prośby do Boga Wszechmogącego, ale błagano jednomyślnie o zwycięstwo. Błagam, najdroższy Panie, byś po tak długim czasie, kiedy kosztowało nas to tyle wysiłku i pieniędzy, kiedy doznawaliśmy lęku i zwątpienia, raczył wynagro-

dzić nas zwycięstwem. I wybaw nas od poniżenia, ruiny, bankructwa i wszelkiego zła, które zesłałby na nas niepomysłny werdykt.

Następnie urzędniczka sądowa zadzwoniła na komórkę Jareda Kurtina, architekta obrony. Pan Kurtin wylegiwał się na wypożyczonej skórzanej kanapie w swoim tymczasowym biurze przy Front Street w śródmieściu Hattiesburga, trzy przecznice od gmachu sądu. Czytał jakąś biografię i rejestrował upływające godziny warte w jego przypadku siedemset pięćdziesiąt dolarów. Wysłuchiwał spokojnie wiadomości i rozłączył się.

– Chodźmy. Ława przysięgłych jest gotowa – oznajmił.

Jego żołnierze w ciemnych garniturach stanęli niemal na baczność, a potem ustawili się w szeregu, by eskortować go w drodze do kolejnego spektakularnego zwycięstwa. Wyruszyli bez słowa komentarza, bez modlitwy na ustach.

Zawiadomiono innych prawników, potem dziennikarzy i w ciągu paru minut wieść trafiła na ulicę i zaczęła rozchodzić się lotem błyskawicy.



Na szczycie wysokiego budynku na dolnym Manhattanie pewien ogarnięty paniką młody człowiek wpadł do sali, w której odbywało się właśnie ważne spotkanie, i przekazał szeptem pilną wiadomość panu Carlowi Trudeau, który z miejsca stracił zainteresowanie omawianą sprawą i podniósł się gwałtownie z miejsca.

– Wygląda na to, że przysięgli ustalili werdykt – oznajmił.

Wyszedł i ruszył korytarzem do dużego narożnego apartamentu, gdzie zdjął marynarkę, poluzował krawat, podszedł do okna i popatrzył w dal, na pogrążoną we wczesnym mroku

rzekę Hudson. Czekał i jak zwykle zadawał sobie pytanie, jakim cudem tak wielka część jego imperium mogła opierać się na zbiorowej mądrości dwunastu przeciętnych ludzi w jakiejś dziurze w stanie Missisipi.

Choć wiedział bardzo dużo, nie potrafił na to odpowiedzieć.



Ludzie spieszyli do sądu ze wszystkich stron, kiedy Paytonowie zaparkowali samochód w uliczce na jego tyłach. Zostali przez chwilę w samochodzie, wciąż trzymając się za ręce. Przez cztery miesiące, przebywając w pobliżu tego budynku, starali się unikać kontaktu fizycznego. Ktoś zawsze obserwował. Może sędzia przysięgły albo reporter. Należało w miarę możliwości zachowywać się profesjonalnie. Fakt, że zespołem prawniczym była para małżeńska, zadziwiał ludzi, więc Paytonowie starali się traktować nawzajem jak prawnicy, a nie małżonkowie.

W trakcie procesu, z dala od budynku sądu, zdarzały im się cenne chwile wzajemnej bliskości.

– Co myślisz? – spytał Wes, nie patrząc na żonę. Serce waliło mu jak młot, czoło było mokre od potu. Wciąż zaciskał lewą dłoń na kierownicy i powtarzał sobie, by się odprężyć.

Odprężyć! Niezły żart.

– Nigdy jeszcze się tak nie bałam – wyznała Mary Grace.

– Ani ja.

Milczeli długą chwilę, oddychając głęboko; wóz transmisyjny którejś ze stacji telewizyjnych omal nie zmasakrował przechodnia.

– Zdołamy przeżyć porażkę? – spytała. – Oto jest pytanie.

– Musimy przeżyć. Nie mamy wyboru. Ale nie prze-

gramy.

– Tak trzymać! Chodźmy.

Przyłączyli się do pozostałych pracowników swojej nie-dużej kancelarii i weszli razem do budynku sądu. Tam gdzie zawsze, na pierwszym piętrze, obok automatu z napojami, czekała ich klientka, powódka Jeannette Baker; gdy zobaczyła prawników, od razu się rozplakała. Wes ujął ją za ramię z jednej strony, Grace z drugiej i ruszyli po schodach do sali rozpraw na drugim piętrze. Równie dobrze mogliby ją wnieść. Ważyła niespełna pięćdziesiąt kilogramów i podczas procesu postarzała się o pięć lat. Była w depresji, chwilami miała urojenia i choć nie cierpiała na anoreksję, po prostu nie jadła. W wieku trzydziestu czterech lat pochowała już dziecko i męża i teraz dobiegła do końca koszmarnego procesu, żałując w głębi duszy, że w ogóle do niego doszło.

W sali panowała atmosfera podniecenia, jakby wyły syreny, a lada chwila miało dojść do bombardowania. Tłoczyły się tu dziesiątki ludzi, którzy szukali swoich miejsc albo rozglądając się, rozmawiali nerwowo. Kiedy w bocznych drzwiach ukazał się Jared Kurtin ze swoją armią obrony, wszyscy wlepili w niego wzrok, jakby wiedział coś, o czym oni nie mieli pojęcia. Dzień w dzień przez ostatnie cztery miesiące udawał, że jest niezwykle przenikliwy, ale w tym momencie jego twarz niczego nie zdradzała. Otoczony podwładnymi, emanował powagą.

Po drugiej stronie sali, w odległości kilku metrów, przy stole powódki zajmowali miejsca Paytonowie i Jeannette. Te same krzesła, te same pozy, ta sama wyszukana strategia, której celem było zrobienie odpowiedniego wrażenia na przysięgłych: oto biedna wdowa i jej dwoje samotnych prawników rzuciło wyzwanie gigantycznej korporacji o nie-

ograniczonych zasobach i środkach. Wes Payton zerknął na Jareda Kurtina i ich oczy spotkały się na chwilę; skinęli grzecznie głowami. Cud tego procesu polegał na tym, że tych dwóch ludzi wciąż traktowało się z pewną dozą uprzejmości, ba, nawet rozmawiali, gdy było to nieodzowne. Stało się to kwestią dumy. Zdarzały się mało przyjemne sytuacje, i to często, więc obaj byli zdecydowani wznieść się ponad małostkowość i wyciągać do siebie rękę.

Mary Grace nie podniosła wzroku, ale nawet gdyby to zrobiła, nie skinęłaby głową ani się nie uśmiechnęła. Chwała Bogu, że nie nosiła w torebce broni, bo nie byłoby już połowy siedzących po drugiej stronie mężczyzn w ciemnych garniturach. Położyła przed sobą czysty notatnik w linie, zapisała w nim datę, a następnie swoje imię i nazwisko. Potem nie przyszło jej do głowy już nic więcej. W ciągu siedemdziesięciu jeden dni procesu wypełniła sześćdziesiąt sześć takich notatników, wszystkie o tym samym rozmiarze i kolorze; spoczywały teraz w idealnym porządku w metalowej szafce w Dołku. Podała Jeannette chusteczkę. Choć Mary Grace liczyła dosłownie wszystko, nie prowadziła ewidencji środków higienicznych, które jej klientka zużyła podczas procesu. A było tego mnóstwo.

Jeannette płakała niemal non stop i choć Mary Grace współczuła jej głęboko, czuła się zmęczona tym przeklętym chlipaniem. Miała dość wszystkiego – wyczerpania, stresu, bezsennych nocy, ciągłego analizowania, braku kontaktu z dziećmi, zaniedbanego mieszkania, góry niezapłaconych rachunków, lekceważonych klientów, zimnej chińskiej zupy o północy, konieczności – istne wyzwanie – malowania się i układania włosów każdego ranka, by wyglądać atrakcyjnie przed ławą przysięgłych. Tego po niej oczekiwano.

Udział w poważnym procesie jest jak skok do ciemnego i zarośniętego stawu z pasem obciążonym kamieniami. Człowiek utrzymuje się jakoś na powierzchni, choć reszta świata się nie liczy, i ma bezustannie wrażenie, że tonie.

Kilka rzędów za Paytonami, na końcu ławy, która szybko się zappełniała, siedział ich bankier, który obgryzał nerwowo paznokcie i starał się jednocześnie zachować spokój. Nazywał się Tom Huff, dla przyjaciół Huffy. Wpadał od czasu do czasu do sądu, przysłuchiwał się procesowi i odmawiał swoją prywatną modlitwę. Paytonowie byli winni jego bankowi czterysta tysięcy dolarów, a jedynym zabezpieczeniem tej pożyczki był kawałek ziemi uprawnej w hrabstwie Cary, należący do ojca Mary Grace. Poszedłby w najlepszym razie za sto tysięcy, tym samym pozostałoby jeszcze mnóstwo długu bez pokrycia. Gdyby Paytonowie przegrali sprawę, oznaczałoby to koniec obiecującej niegdyś kariery Huffy'ego jako bankowca. Prezes banku już dawno przestał na niego wrzeszczeć. Teraz wszelkie groźby miały formę maili.

To, co zaczęło się niewinnie od prostej pożyczki wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów pod drugą hipotekę ich uroczego domu na przedmieściach, przerodziło się w ziejącą otchłań piekielną długów i idiotycznych wydatków. Idiotycznych w każdym razie w przekonaniu Huffy'ego. Ładny dom przepadł, podobnie jak ładne biuro w śródmieściu, także importowane samochody i cała reszta. Paytonowie ryzykowali wszystko, a Huffy siłą rzeczy ich podziwiał. Dobry werdykt i był geniuszem. Niewłaściwy werdykt i ustawiłby się za nimi w kolejce do sądu orzekającego upadłość.

Finansiści po drugiej stronie sali sądowej nie obgryzali nerwowo paznokci i nie martwili się szczególnie o bankructwo, choć poruszali ten temat. Firma Krane Chemical miała

mnóstwo gotówki, zysków i aktywów, ale też setki potencjalnych pozwów ze strony ludzi, którzy niczym sępy czekali na to, co miał usłyszeć cały świat. Idiotyczny werdykt i posypałyby się procesy sądowe.

W tej chwili jednak sprawiali wrażenie grupy pewnych siebie ludzi. Jared Kurtin to najlepszy prawnik, jakiego można było znaleźć. Akcje firmy spadły tylko nieznacznie. Pan Trudeau, który przebywał w Nowym Jorku, wydawał się zadowolony.

Nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie wrócą do domów.

Dzięki Bogu, że światowe giełdy już tego dnia nie funkcjonowały.

Wuj Joe zawołał: „Proszę zajmować miejsca” i w drzwiach na tyłach sali pojawił się sędzia Harrison. Już dawno porzucił głupi zwyczaj, który wymagał, by wszyscy stali, kiedy on zasiadał na swym tronie.

– Dzień dobry – powiedział. Była prawie siedemnasta. – Zostałem poinformowany przez ławę przysięgłych, że ustalono werdykt. – Rozejrzał się, chcąc mieć pewność, że wszyscy gracze są obecni. – Nadal oczekuję właściwego zachowania. Żadnych wybryków. Nikt nie wyjdzie, dopóki nie zwolnię przysięgłych. Jakieś pytania? Niepoważne wnioski ze strony obrony?

Jared Kurtin zachowywał całkowity spokój. Nie zwracał najmniejszej uwagi na sędziego, tylko bazgrał w notatniku, jakby tworzył malarskie arcydzieło. Gdyby spółka Krane Chemical przegrała, złożylby apelację – i to z całą determinacją – którą oparłby na uprzedzeniach czcigodnego Thomasa Alsbrooka Harrisona IV, byłego adwokata, znanego z głębokiej niechęci wobec wielkich korporacji, a w szczególności wobec Krane Chemical.

– Panie woźny, proszę wezwać przysięgłych.

Drzwi obok ławy, na której zasiadali sędziowie, otworzyły się na oścież i nagle jakiś gigantyczny odkurzacz wyssał z sali każdą cząstkę powietrza. Serca zamarły. Ciała zeszytywniały. Oczy szukały obiektów, by skupić na nich spojrzenie. Słysząc było tylko szuranie stóp sędziów przysięgłych na mocno wytartym dywanie.

Jared Kurtin kontynuował swe metodyczne gryzmolenie. Miał w zwyczaju nigdy nie patrzeć na twarze przysięgłych, kiedy ci powracali z werdyktem. Po stu rozprawach wiedział, że nic się nie da z nich wyczytać. Zresztą po co? I tak po kilku sekundach ogłaszali swoją decyzję. Jego ludzie otrzymali ściśle instrukcje, by nie zwracać uwagi na przysięgłych i bez względu na werdykt nie okazywać żadnych emocji.

Oczywiście, Jared Kurtin nie stał w obliczu finansowej i zawodowej klęski. W przeciwieństwie do Wesa Paytona, który nie odrywał wzroku od oczu przysięgłych, gdy zasiadali na swoich miejscach. Pracownik mleczarni uciekł spojrzeniem, niedobry znak. Nauczyciel patrzył wprost na Wesa, jakby przenikał go na wylot, kolejny zły znak. Kiedy przewodniczący ławy przysięgłych podawał sekretarce kopertę, żona pastora zerknęła na Wesa ze współczuciem, ale z drugiej strony prezentowała to smutne oblicze od początku procesu.

Mary Grace dostrzegła pewien znak, choć nawet go nie wypatrywała. Podsuwając następną chusteczkę Jeannette Baker, która szlochała teraz otwarcie, zerknęła ukradkiem na sędziego numer sześć, siedzącego najbliżej niej, doktor Leonę Rochę, emerytowaną wykładowczynię języka angielskiego na uniwersytecie. Doktor Rocha mrugnęła do niej zza okularów do czytania w czerwonej oprawce – szybko, nieznacznie,

odruchowo, jak nigdy dotąd.

– Czy ustaliliście werdykt? – spytał w tym momencie sędzia Harrison.

– Tak, Wysoki Sądzie, ustaliliśmy – odparł przewodniczący.

– Czy jest jednomyślny?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Czy na werdykt zgadza się co najmniej dziewięcioro z was?

– Tak, Wysoki Sądzie. Wynik głosowania wynosi dziesięć do dwóch.

– To najważniejsze.

Mary Grace zaczęła sporządzać notatkę na temat mrugnięcia doktor Rochy, ale w całym tym napięciu nie była w stanie odczytać własnego pisma. Spróbuj zachować spokój, powtarzała sobie uparcie.

Sędzia Harrison wziął kopertę od sekretarki, wyjął z niej kartkę i zaczął zapoznawać się z werdyktem – na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki; zmrużył oczy, ściskając palcami grzbiet nosa. Po chwili dłużej jak wieczność oznajmił:

– Wszystko w porządku.

Nawet drgnienia, najdrobniejszego grymasu, uniesienia powiek, niczego, co pozwalałoby się domyślić treści, którą zawierała kartka.

Spojrzał w dół i skinął głową protokolantce, po czym odchrząknął, najwyraźniej rozkoszując się tą chwilą. Zmarszczki wokół oczu wygładziły się, mięśnie szczęki rozluźniły, ramiona przygarbiły nieznacznie i, przynajmniej w przypadku Wesa, pojawiła się nadzieja, że przysięgli dowalili pozwanemu.

Sędzia Harrison zaczął niespiesznym i donośnym głosem

czytać:

– Pytanie numer jeden: czy w obliczu dowodów uznajecie, że będące przedmiotem sporu wody gruntowe zostały skażone przez Krane Chemical Corporation? – Po podstępnej pauzie, która trwała niespełna pięć sekund, kontynuował: – Odpowiedź: tak.

Jedna strona sali zdołała odetchnąć, podczas gdy druga zaczęła przyoblekać się bladością.

– Pytanie numer dwa: czy w obliczu dowodów uznajecie, że skażenie było bezpośrednią przyczyną zgonów Chada Bakera lub Pete’a Bakera, albo ich obu? Odpowiedź: tak, w obu przypadkach.

Mary Grace zdołała wyjąć chusteczki z pudełka lewą ręką, pisząc coś gorączkowo prawą. Wes tymczasem zerknął na sędziego numer cztery, który akurat obdarzył go przelotnym spojrzeniem i żartobliwym uśmiechem, jakby mówił: „Teraz będzie najlepsze”.

– Pytanie numer trzy: odnośnie do osoby Chada Bakera. Jaką kwotę zasądzacie na rzecz jego matki, Jeannette Baker, tytułem odszkodowania za jego śmierć? Odpowiedź: pięćset tysięcy dolarów.

Martwe dzieci nie są wiele warte, bo nie zarabiają, ale to pokaźne odszkodowanie za śmierć Chada rozbrzmiało niczym dzwonek alarmowy, ponieważ stanowiło króciutką zapowiedź tego, co ma jeszcze nastąpić. Wes spojrzał na zegar wiszący nad głową sędziego i podziękował Bogu za oddalenie wizji bankructwa.

– Pytanie numer cztery: odnośnie do osoby Pete’a Bakera. Jaką sumę pieniędzy przyznajecie wdowie po nim, Jeannette Baker, tytułem odszkodowania za jego śmierć? Odpowiedź: dwa i pół miliona dolarów.

Wśród bogatych chłopców siedzących w pierwszym rzędzie za plecami Jareda Kurtina nastąpiło poruszenie. Krane Chemical mogła z pewnością wybulić trzy miliony dolarów, ale ten początek potencjalnego efektu lawinowego nagle ich przeraził. Kurtin nawet nie drgnął.

Na razie.

Jeannette Baker zaczęła zsuwać się z krzesła. Jej adwokaci pospieszyli z pomocą: pomogli jej usiąść i otoczyli drobne barki powódki ramionami, coś do niej szepcząc. Szlochała, nie mogąc nad sobą zapanować.

Na liście było sześć pytań opracowanych przez prawników i gdyby przysięgli odpowiedzieli twierdząco na pytanie numer pięć, to cały świat by oszalał. Sędzia Harrison doszedł właśnie do tego punktu; odchrząknął, studiując z uwagą odpowiedź. I wtedy ujawnił typową dla siebie złośliwość, bo uśmiechnął się przy tym. Podniósł odrobinę wzrok znad kartki, którą trzymał, po czym spojrzał na Wesa Paytona nad oprawką tanich okularów osadzonych na nosie. Uśmiech był nieznaczny, konspiratorski, a mimo to pełen radosnej satysfakcji.

– Pytanie numer pięć: czy w obliczu dowodów uznajecie, że działania Krane Chemical Corporation były albo celowe, albo odznaczające się takim niedbalstwem, że usprawiedliwia to zasądzenie odszkodowania za straty moralne? Odpowiedź: tak.

Mary Grace przestała pisać i popatrzyła ponad ruchliwą głową swojej klientki na męża, który wlepił w nią wzrok. Wygrali i to już samo w sobie budziło radość, niemal nieopisaną euforię. Ale jak wielkie było ich zwycięstwo? W tym jednym ułamku sekundy oboje wiedzieli, że będzie spektakularne.

– Pytanie numer sześć: jaka jest wysokość odszkodowania za straty moralne? Odpowiedź: trzydzieści osiem milionów dolarów.

Rozległy się westchnienia, pokasywania i ciche gwizdy, kiedy po sali przetaczały się fale uderzeniowe. Jared Kurtin i jego gang zapisywali gorączkowo wszystko i starali się wyglądać na nieporuszonych tym podmuchem eksplozji. Szefowie Krane’a w pierwszym rzędzie próbowali dojść do siebie i oddychać normalnie. Większość spoglądała gniewnie na przysięgłych, a w ich głowach kłębiły się pogardliwe myśli o ignorantach, prowincjonalnej głupocie i temu podobnych.

Pan i pani Payton znów obrócili się w stronę klientki przyniecionej brzemieniem werdyktu i próbującej podnieść się nieporadnie. Wes szeptał do Jeannette, dodając jej odwagi, i jednocześnie powtarzał w głowie liczby, które właśnie usłyszał. Jakimś cudem zdołał zachować powagę i nie uśmiechać się głupkowato.

Huffy przestał obgryzać paznokcie. W ciągu niespełna trzydziestu sekund przestał być okrytym hańbą, zrujnowanym wiceprezesem banku, a stał się wschodzącą gwiazdą z widokami na wyższą pensję i stanowisko. Czuł się nawet mądrzejszy. Och, wyobrażał sobie, jak z samego rana zaczyna ćwiczyć wejście do sali zarządu. Sędzia mówił o formalnościach i dziękował przysięgłym, ale Huffy nie przywiązywał do tego wagi. Usłyszał wszystko, co pragnął usłyszeć.

Przysięgli wstali i wyszli gęsiego, podczas gdy Wuj Joe przytrzymał im drzwi i kiwał aprobowająco głową. Później powiedział żonie, że przewidział taki werdykt, choć ona niczego takiego sobie nie przypominała. Twierdził, że nie pomylił się ani razu w ciągu tych dziesiątków lat pracy woźnego sądowego. Kiedy przysięgli wyszli, Jared Kurtin podniósł się

z miejsca i wyklepał zwyczajowe zapytania dotyczące wyroku, na co teraz, kiedy krew się już rozlała, sędzia Harrison odpowiadał z głębokim współczuciem. Mary Grace nie obchodziło to w najmniejszym stopniu. Miała to, na czym jej zależało.

Wes rozmyślał o czterdziestu jeden milionach dolarów i starał się zapanować nad emocjami. Wiedział, że ich kancelaria przetrwa, tak jak ich małżeństwo i reputacja, i w ogóle wszystko.

Kiedy sędzia Harrison oznajmił w końcu: „Zamykam posiedzenie sądu”, tłum ruszył do wyjścia. Wszyscy chwycili za telefony komórkowe.



Carl Trudeau wciąż stał przy oknie i patrzył, jak resztki słońca zachodzą daleko za New Jersey. Po drugiej stronie dużego pokoju jego asystent Stu odebrał telefon i zrobił kilka kroków, nim zdobył się na odwagę, by powiedzieć:

– Dzwonili z Hattiesburga. Trzy miliony odszkodowania dla powódki, trzydzieści osiem odszkodowania za straty moralne.

Jego szef przygarbił się nieznacznie, westchnął sfrustrowany i wymamrotał jakieś przekleństwo.

Odwrócił się powoli i spojrzał gniewnie na asystenta, jakby zamierzał zabić posłańca przynoszącego złe wieści.

– Jesteś pewien, że się nie przesłyszałeś? – spytał.

Stu pragnął rozpaczliwie, by tak właśnie było.

– Nie.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł pospiesznie Bobby Ratzlaff; brakowało mu tchu, był zszokowany i wystraszony. Pełnił funkcję głównego prawnika firmy

i wiedział, że to jego głowa jako pierwsza pójdzie pod topór.

– Sprowadź tu swoich chłopców. Za pięć minut – warknął Trudeau, a potem znów odwrócił się do okna.



Konferencja prasowa odbywała się na parterze sądu. Wes i Mary Grace rozmawiali cierpliwie z dziennikarzami stojącymi w dwóch niewielkich grupkach. Oboje udzielali takich samych odpowiedzi na takie same pytania. Nie, werdykt nie jest rekordowy w stanie Missisipi. Tak, uważają, że jest usprawiedliwiony. Nie, nie spodziewali się go, zwłaszcza tak wysokiego odszkodowania. Z pewnością dojdzie do apelacji. Wes przyznał, że ma wiele szacunku dla Jareda Kurtina, ale nie dla jego klienta. Ich kancelaria reprezentuje obecnie trzydziestu innych powodów, którzy skarżą Krane Chemical. Nie, nie spodziewają się, by doszło w tych sprawach do ugody.

Tak, są zmęczeni.

Pół godziny później poprosili, by dano im wreszcie spokój, i wyszli razem z budynku sądu okręgowego, każde z ciężką teczką w dłoni. Robiono im zdjęcia, kiedy wsiadali do samochodu i odjeżdżali.

Nie odzywali się. Cztery przecznice, pięć, sześć. Upłynęło dziesięć minut bez choćby jednego słowa. Samochód, podobny do Forda Taurus z milionem kilometrów na liczniku i co najmniej jednym niedopompowanym kołem, dryfował przy bezustannym stukocie obłuzowanego zaworu po ulicach wokół uniwersytetu. Milczenie przerwał Wes:

- Ile wynosi jedna trzecia czterdziestu jeden milionów?
- Nawet o tym nie myśl.
- Nie myślę. Żartowałem.
- Po prostu jedź.

– Chodzi ci o jakieś konkretne miejsce?

– Nie.

Taurus zapuszczał się na przedmieścia, zmierzając donikąd, ale z pewnością nie z powrotem do biura. Trzymali się z dala od okolicy z uroczym domem, który kiedyś do nich należał.

W miarę jak znikало oświecenie, powracała rzeczywistość. Pozew, który wniesli cztery lata wcześniej, i to z wielką niechęcią, został rozpatrzony w najbardziej dramatyczny sposób. Wycieńczający maraton dobiegł końca i choć odnieśli tymczasowe zwycięstwo, jego koszty okazały się ogromne. Rany wciąż były otwarte, blizny wojenne wciąż świeże.

Wskaźnik poziomu paliwa pokazywał jedną czwartą baku. Przed dwoma laty Wes nie zwróciłby na to uwagi. Teraz sprawa wyglądała znacznie poważniej. Wtedy jeździł bmw – Mary Grace miała jaguara – i kiedy potrzebował benzyny, zajeżdżał po prostu na ulubioną stację benzynową i tankował, płacąc kartą kredytową. Nigdy nie oglądał rachunków; zajmowała się nimi księgowa. Karty kredytowe zniknęły, podobnie jak bmw i jaguar, a ta sama księgowa pracowała za połowę wynagrodzenia i wydzielała im po kilka dolarów gotówką, żeby utrzymać kancelarię Paytonów na powierzchni.

Mary Grace też spojrzała na wskaźnik, co ostatnio stało się u niej zwyczajem. Notowała i zapamiętywała cenę wszystkiego – galonu benzyny, bochenka chleba, kartonu mleka. Ona lubiła oszczędzać, a on wydawać, ale jeszcze nie tak wiele lat temu, kiedy bezustannie dzwonili klienci i zawierane były ugody, rozluźniła się trochę za bardzo i cieszyła wspólnym sukcesem. Oszczędzanie i inwestowanie nie wydawało się priorytetem. Byli młodzi, firma prosperowała, przyszłość wydawała się nie mieć granic.